Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 33.** Leszno, dnia 17. Lutego 1838.



Cmentarz Lessinga.

(Z wystawy poznańskiéj.)

Wystawa obrazów w Poznaniu.

(Ciąg dalszy.)

Przy wejściu do drugiéj sali, pierwszy obraz, który mnie zajął, «była chłopska rodzina w modlitwie» pana Beckera Wystawił ją malarz po szczęśliwéj operacyi oczu matki, powracającą do domu, zatrzymaną na chwilę w lesie, aby Bogu i opiekuńczym patronom pobożne złożyć dzięki: wszyscy przyklękli, i z wiarą, ufnością i rozrzewnieniem się modlą: jednak twarze ich zbyt prostacze, nie powiodły się malarzowi, a piękność tego obrazu, wcale jest od nich odrębną: pochodzi ona z niezrównanéj doskonałości w malowaniu drzewa leśnego, i pod tym względem, mało co z nim porównać się dało z krajobrazów wystawy. Szarawa barwa pni, rozdzielająca rozmaitą zieloność drzewa od uprzejmego koloru murawy, jako też upstrzenie tego przedziału obu zieleni różnobarwnemi sukniami wieśniaczéj rodziny, jak najmilsze sprawują wrażenie na widza. Szczęśliwy był to pomysł, umieszczenie w lesie modlących się chłopków: albowiem wśród zewnętrznego przyrodzenia, nigdzie może lepiéj modlić się nie da, jak wśród starych lasów, świadków ubiegłéj przeszłości, a cichych, niemych, powierniczych schronień człowieka. Zawsze lasy religijne wzniecały uczucia zda się poniekąd, że ta przeważna moc roślinnych utworów, odwiecznie przygniatała człowieka, i wskazywała mu potężniéjszego twórcę: w lasach dodońskich wyroczni słuchano, w druidskich święconej szukano jemioły, w germańskich znaleziono podobno wzory gotyckiéj architektury, wśród nich poganin siedziby sylwom, nimfom naznacza, chrześcianin mnogie wznosił kaplice. Każden chciał przytomnością bóstwa uspakajać mimowolne uczucie bojaźni i trwogi, jakie człowieka ogarnia wśród ciemnych bezdróży, co nikt zrozumieć i wytłumaczyć nie zdołał, a jakie panicznym przezwano postrachem. Dzisiaj wśród martwiejącéj zewsząd poezyi życia, niechaj wolno nam będzie wezwać mniéj oziębłych, aby nie zaniedbali zupełnie przystrajać tu i owdzie najpiękniéjszych nadbrzeżnych drzew leśnych pobożnemi obrazki, jako to czynili ojcowie nasi, sprawując tyle dla materyalnego porządkowania; uczyńmyż nieco i dla uczucia niemniéj godnego. Nieraz natchnienie dobréj myśli w przechodniu, wstrzymało go od zamierzonego występku; albo mu korzyść duchową, wyższą nad prostą wygodę przyniosło.

Dobry leśny obraz Krügera wspomnieć tu należy. Normana widoki szwajcarskie i Stürmera nadbrzeża wyspy Rygi, zasługują na pochwałę; niemniéj Wickenbergera nocny krajobraz, który musiał obejść się bez najpiękniéjszéj ozdoby dziennego światła. Więcéj atoli cenić nam wypada Bikermana widok wieczorny, którego pyszny błękit i czerwieniawe odbicie zachodzącego światła, jak najmilsze, jak najdłuższe zostawiły wrażenie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wzmianka o prozodyi polskiéj.

(Dokończenie.)

Skorośmy akcent na znaczeniu syllaby ugruntowali, musi więc ta najmniéj być z przyciskiem wymawianą, a razem najmniéj długą, która najmniéj znaczy; dla tego chcąc w mowie nadać syllabie, dla dobitności, mocniéjsze znaczenie, możemy taką nawet często przedłużyć, którąby nigdy za długą uważaną być nie mogła. Zależy więc wiele od piszącego poety, w którą syllabę moc swą i dobitność chce wlać; może ją więc niekiedy albo przedłużyć, a jeśli poeta jest nim prawdziwie, nie nadużyje on nigdy téj wolności, będąc bowiem twórcą i panem języka, tworzy go i panuje nad nim tak, jak mu duch jego wskazuje. Niepodobną bowiem jest rzeczą, ażeby n. p. w wyrazie o d m ę t, ostatnia syllaba zupełnie, absolutnie miała być krótką; poeta może równie dobrze go użyć jako trochea i jako spondea, albowiem syllaba ęt daje dopiero znaczenie temu wyrazowi: z resztą ponieważ nie znamy przyczyny akcentu na przedostatniéj, nie wiemy także jeszcze, co on znaczy, bo o tém możemy z pewnością być przekonani, że syllaba ta nie na próżno tém pierwszeństwem przed innemi się szczyci, musi ona coś zawierać w sobie, czegośmy jeszcze nie dociekli. Czemuż nareszcie cztero i więcéj zgłoskowe wyrazy, dwa a nie więcej takich mają akcentów? Czyżby podług głównéj zasady nie musiał każdy wyraz jeden tylko mieć taki przycisk na przedostatniéj? Cóż więc pierwszy i drugi akcent w takim wyrazie znaczy? Co się zaś tyczy jednozgłoskowych wyrazów, dla tego one męzki, dzielny i tęgi mają akcent, bo całe znaczenie takiego wyrazu nie rozprasza swéj wewnętrznéj siły dla innych syllab, ale całą moc swojego znaczenia w jednę wlewa, która będąc tylko jedną, i obejmując sobą wiele znaczenia, musi koniecznie być mocną. Ściśle więc biorąc absolutną długość, jaką mają syllaby w greckim i łacińskim języku, mogą tylko mieć w naszym wyrazy jednozgłoskowe; syllaby zaś przedostatnie jednakową akcentu napiętnowane siłą, możnaby także, lubo już nie tak ściśle, za absolutną uważać długość; reszta syllab chcąc w porównaniu ze starożytnemi językami pozostać, może w stósunku pozycyi za długą być uważaną, z tą tylko różnicą, że tamte stają się długiemi przez wymawianie spółgłosek, przez które trzeba jechać jakby po grudzie, a zatem i dłużej przy ich wymawianiu się zatrzymać; w naszym zaś języku jedynie przez znaczenie: tamte więc zewnętrzną, fizyczną siłą, te wewnętrzną, duchowną swego dopominają się prawa. Ze w językach starożytnych dwie krótkie, jednę długą zastępują syllabę, dowodzi nam to dokładnie ich plastyczności języka, ich materyalności prozodyi; w naszym dziesięć krótkich nie utworzą jednéj długiéj treściwéj: przyczyną tego jest, że akcent i długość w starożytnych językach, co w greckim naocznie widzimy, jest zupełnie co innego, w naszym zaś jedno i to samo. Ztąd, jak wszystko materyalne łatwiéj człowiek poznaje a niżeli duchowne, niewidzialne, tak też w języku łacińskim i greckim łatwiéj pojmujemy długość i krótkość, jak w naszym, gdzie wszystko jest ukrytém wewnątrz, a tém samém trudniejsze daleko do namacania. Dla tego słusznie nam się zdaje metryka starożytnych tak doskonałą, że jéj w naszym języku nie jesteśmy w stanie wyrównać; główną zaś przyczyną tego jest, że ją lepiéj pojąć zdołamy, i że jest zupełnie wydoskonaloną. Lecz któż ją wydoskonalił? Oto p o e c i w praktyce; a nowsi uczeni dopiero kunsztowną jéj zbudowali teoryą. Budowa ta dla tego jest tak kunsztowną i dokładną, że ją mieli z czego wznosić, mieli dostatek materyałów, których im starożytnéj literatury skarby dostarczały. Lecz z czegéż my, ubodzy w podobne płody przeciw Grekom i Rzymianom, chcemy teoryą naszą wywodzić? Możnaby takie dążenie zastósować do dziecka, ktore dostawszy pieniądz, cieszy się i chciałoby za niego cały świat kupić. Utworzyć coś z niczego jest rzeczą nadludzką; trzeba więc do wszystkiego koniecznie materyi; tę tylko możemy przerobić, i z niéj coś wyrobić. Na przykładach nam jeszcze zbywa; poeci więc genialni mogą to ważne dzieło uskutecznić, co oni, czując równie z językiem, czego mu potrzeba, z serca naturalnie, nie z głowy mozolnie wyszperane wyleją, to teorya chciwie chwytać, krok w krok za nimi postępować i rozumem porządkować będzie. A jeśli płody ich dosięgną téj doskonałości, jaką się starożytni szczycą pisarze, prozodya nasza musi nietylko starożytnéj wyrównać, lecz co do głębokości i czystości źródła, onę przewyższyć; nasza się będzie zasadzać na rozumie, zgłębieniu i uczuciu; tamta tylko na pamięci i umiejętności: pierwsza będzie więcéj wewnętrzną i duchowną, ostatnia jest więcéj fizyczną i materyalną; wyrok, która z nich godniejszą jest myślącéj i rozumnéj istoty człowieka, łatwo każdy wydać potrafi. Atoli są to tylko domysły, i kto wie, jak jeszcze dalekie od prawdy, bo trudno sądzić o tem, co się dopiero kiedyś ma narodzić, i tylko z materyi, z któréj ma powstać, można wnosić, jaką dzieło to przybrać może postać.

To jednak z pewnością powiedzieć możemy, że na wewnętrznych ustaloną być musi prawidłach: pozycya nasza n. p. w wyrazie n i e p o k a l a n y nadaje pierwszéj syllabie n i e akcent a zatem i długość, którejby nigdy mieć nie mogła, gdyby na cały ten wyraz swojego nie wywierała wpływu, i nie nadawała mu innego znaczenia; jest więc sylaba ta z wewnętrznéj natury długą. Możnaby mniemanie to wielu innemi przykładami stwierdzić, jak n. p. wszystkiemi czterozgłoskowemi przymiotnikami w stopniu najwyższym przez dodanie naj i t. p. Czyniąc ztąd wniosek w porównaniu do prozodyi niemieckiéj, możeby lepsi znawcy języka dowiedli, że my nadajemy téj syllabie akcent, która najwięcéj wpływa na znaczenie całego wyrazu; Niemcy zaś téj, która

w pierwiastku największe ma znaczenie; różnica więc w tém nie tak mała, jak się zdaje, chociaż pod względem prozodyi języki te w bliższém zostają pokrewieństwie, bo oba rytmiczność swoję z jednego wywodzą źródła. Błądziłby jednakże ten, ktoby bez głębszego rozpatrzenia się w naszym języku, śmiało chciał na niemieckiéj, teoryą metryki naszéj zakładać. Akcent niemiecki maluje nam naród gruntownie myślący, nasz zaś co znaczy, któż to pokaże? Niemcy położyli swój akcent na źródłosłowie, bo słabe i niepewne zakończenia wszelkich języka ich form, nie zdołały z pierwiastkowego znaczenia wyrazowi nic ująć; nasze zaś pełne i brzmiące końcówki więcéj nierównie, z uszczerbkiem źródłosłowu, potrzebują mocy — mają więc i one niezaprzeczone prawo do akcentu — do długości. Samogłoski a, o, u są w niemieckim języku zawsze długiemi, albowiem będąc z zakończeń wykluczone, mieszczą się tylko w źródłosłowach; w naszym nie mogą być oznaczone, gdyż się wszędzie znajdują. Nie wystarczą więc nigdy prawidła niemieckie do ustalenia naszéj prozodyi. Lecz jak Niemcy wprzód pisali rymiczne wiersze, wprzód czytali Messyadę Klopstoka i rozliczne tłumaczenia Vossa, a potém dopiero przez pilne i bystre badania tych dzieł teoryą znaleźli, tak i my czekajmy, aż nam teraźniejszy olbrzym poetyczny, kryjący, mimo swéj wiedzy, całą tę trudną teoryą w sobie, zagrzmi raz jeszcze potężniéj nie tylko na Homera, lecz i na Horacego lutni. *) J. J.

*) Redakcya umieszczając powyższy artykuł w swem piśmie, chciała zwrócić uwagę znawców języka polskiego na ten ważny przedmiot, który dotychczas tak mało znalazł miłośników i głębszych badaczów.

Czerna, pustynia z klasztorem i kościołem xięży Karmelitów bosych.

(Dokończenie.)

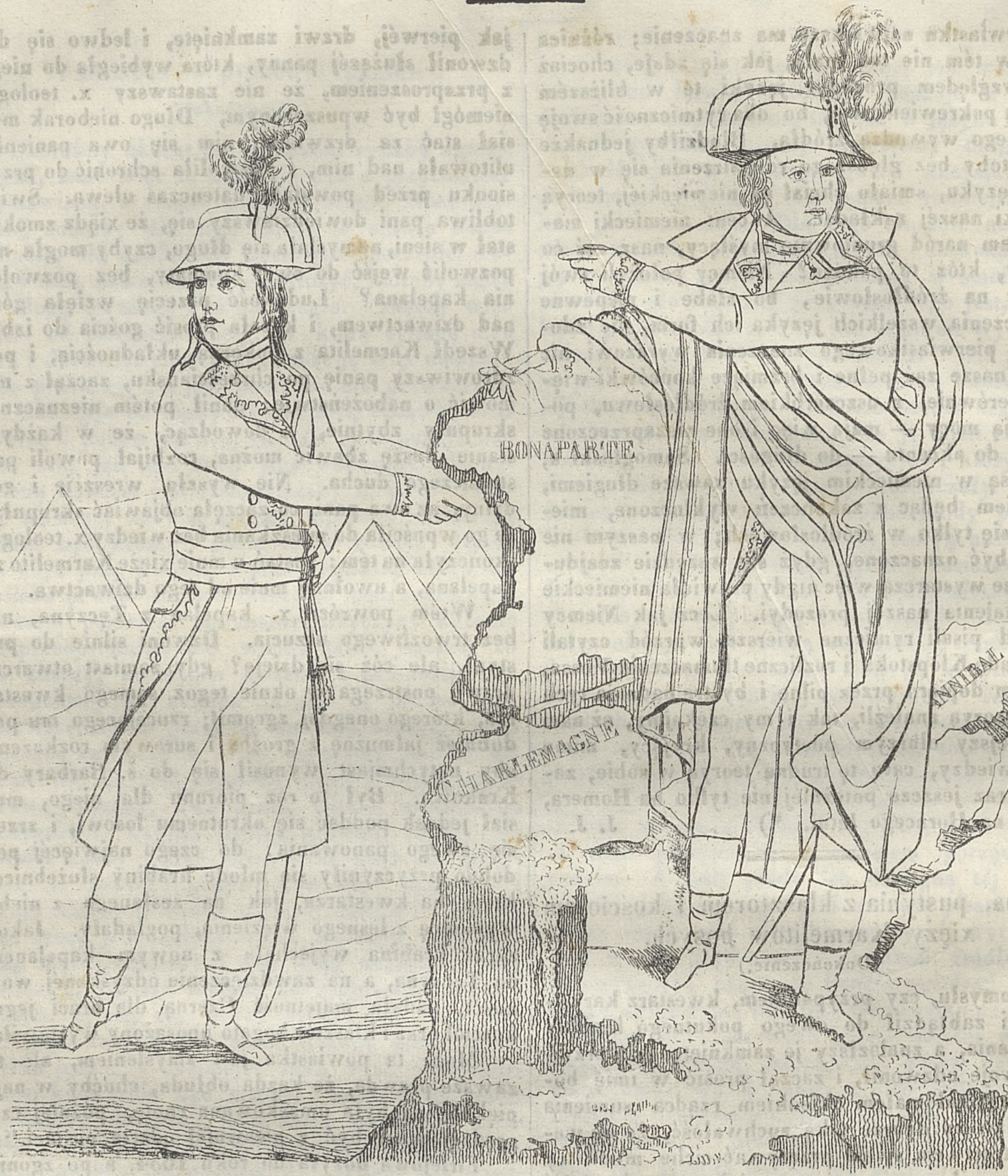
Z umysłu, czy przypadkiem, kwestarz karmelitański zabłądził do owego pokutnego hrabiny mieszkania, a znalazłszy je zamknięte, gdy przyjście swoje odzwonił, i zaczął prosić w imię boskie, wyjrzał małem okienkiem rządca sumienia i połajawszy dobrze taką zuchwałość, że się ważył natręctwem swém przerywać ciche modlitwy pani, rzucił mu z gniewem jałmużnę i odejść czem prędzéj nakazał. Oddalił się złukany kwestarz, zasłoniwszy kapturem twarz wstydem rażoną, i w téj chwili chęć odwetu do myśli jego wstąpiła. Ledwie do pierwszéj doszedł wioski, a już szuka w oddaniu za swoje ochłody, i rozpytuje się, co znaczy ów ojciec duchowny na puszczy? Bada się o wszystkie okoliczności, a porozumiawszy rzecz całą, oczekuje, dopóki x. kapelan nie wyjdzie do Tęczyna, dla rozrządzeń gospodarskich. Przyszła nakoniec chwila, w której się stać miała niespodziewana zmiana. Wyjeżdża kapelan, a kwestarz korzystając z drogiego czasu, dąży spiesznie na pustynią. Zastał, jak pierwéj, drzwi zamknięte, i ledwo się dodzwonił służącéj panny, która wybiegła do niego z przeproszeniem, że nie zastawszy x. teologa, niemógł być wpuszczonym, Długo nieborak musiał stać za drzwiami, nim się owa panienka ulitowała nad nim, i pozwoliła schronić do przysionku przed powstałą uatenczas ulewą. Świątobliwa pani dowiedziawszy się, że xiądz zmokły stał w sieni, namyślała się długo, czyby mogła mu pozwolić wejść do swéj komnaty, bez pozwolenia kapelana? Ludzkość przecię wzięła górę nad dziwactwem, i kazała prosić gościa do izby. Wszedł Karmelita z pokorną układnością, i pozdrowiwszy panię po chrześciańsku, zaczął z nią mówić o nabożeństwie: ganił potém nieznacznie skrupuły zbytnie, a dowodząc, że w każdym stanie duszę zbawić można, rozbijał powoli pustelniczego ducha. Nie wyszło wreszcie i godziny, az owa pani, co zaczęła objawiać skrupuły, że go wpuściła do mieszkania bez wiedzy x. teologa, skończyła na tém: zostań u mnie xięże Karmelito za kapelana, a uwolniéj mnie od tego dziwactwa.

Wtém powrócił x. kapelan z Tęczyna, nie bez trwożliwego uczucia. Dzwoni silnie do pustyni, ale cóż się dzieje? gdy zamiast otwarcia drzwi, postrzega w oknie tegoż samego kwestarza, którego onegdaj zgromił; rzucającego mu podobnież jałmużnę z groźbą i surowym rozkazem, aby natychmiast wynosił się do ś. Barbary do Krakowa. Był to raz piorunu dla niego, musiał jednak poddać się okrutnemu losowi, i zrzec się swego panowania: do czego najwięcéj podobno przyczyniły się młode hrabiny służebnice, które na kwestarza, jak na zesłanego z nieba wybawcę z leśnego więzienia, poglądały. Jakoż zaraz hrabina wyjechała z nowym kapelanem do Tęczyna, a na zawdzięczenie odzyskanéj wolności, nadała majętność Czerną dla braci jego, kościół oraz i klasztór bogato uposażony wystawiła.

Może ta powiastka jest zmyśleniem, ale to zawsze prawda, że każda obłuda, choćby w najpiękniejszą była umaskowana cnotę, późniéj czy prędzéj musi być z nieswojéj odarta postaci."

Firlejowa dożyła do roku 1654, a po zgonie ciało jéj pochowane zostało w grobie kościoła na Czerny z tym napisem:

Domine!
Inter oves locum presta,
Et ab hoedis me sequestra,
Statuens in parte dextra.
Agnes Comitissa de Tenczyn,
Cracoviensis Palatina,
Sacri hujus deserti
Fundatrix,
Pietate in religiosos ac egenos
Munificentissima,
Post sexagesimum sextum
a e t a t i s
Quadragesimum septimum
viduitatis annum,
Hoc marmore diem extremum.
clausit,
Julii XVI. calendis MDCLIV,
Qui transis precare
Pie Jesu, Dne dona ei requiem
Amen. *A. Gr....*



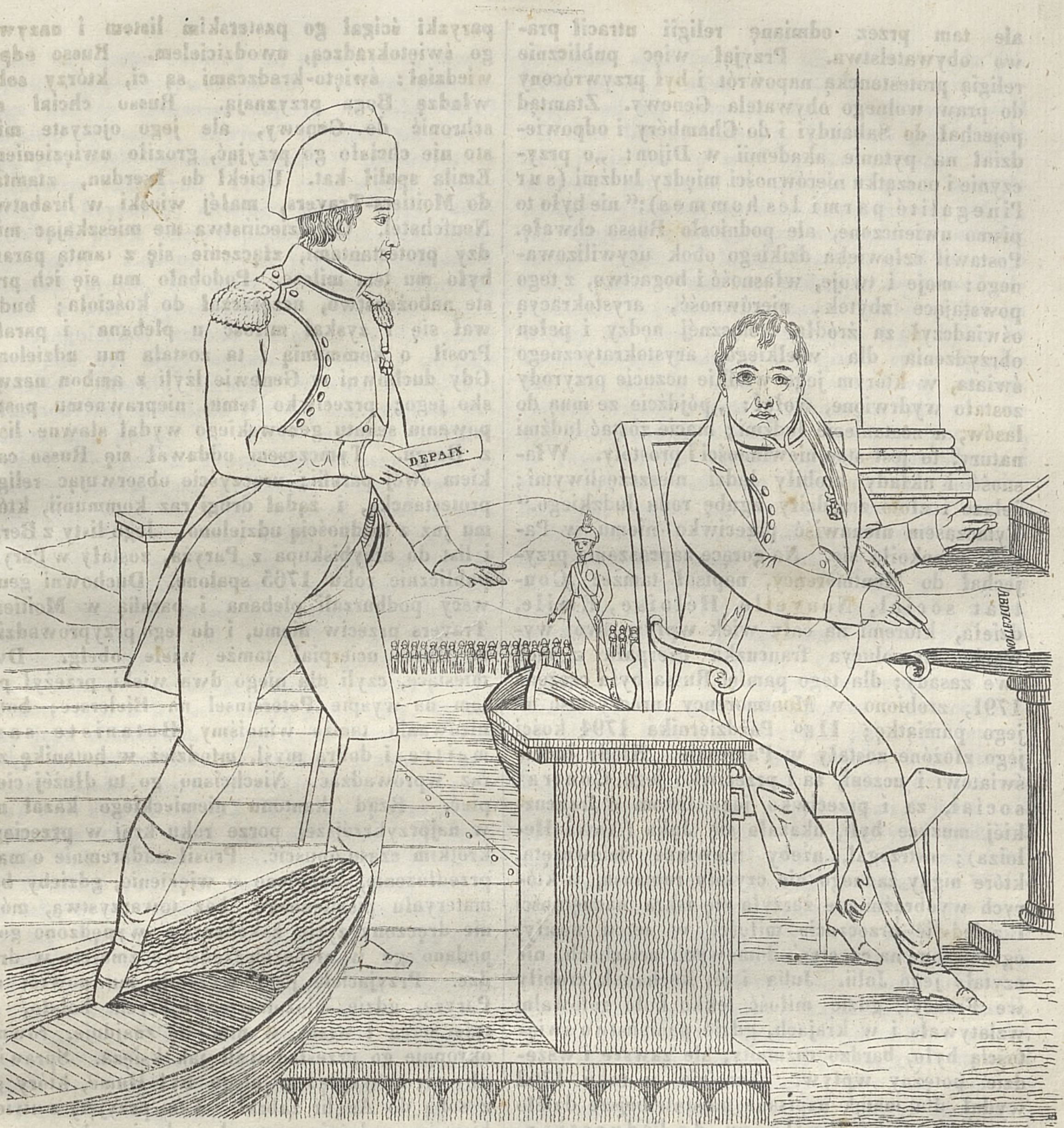
Napoleon Bonaparte w czterech epokach życia.

Przyłączona rycina, jest dziełem artysty jednego w Paryżu, który sławnego bohatera wieku w rozmaitych chwilach nadzwyczajnego w dziejach zawodu, na jednymże chciał wystawić obrazie. Prócz odmiany w rysach twarzy, jest ten obraz jeszcze historycznym przez wierność kostumu, czyli odpowiadającego każdéj epoce ubioru.

Od lewéj strony widać najprzód młodego Jenerała republikańskiego, jakim był w pierwszych wyprawach włoskich, tudzież w egipskiéj i w syryjskiéj. Ubranie jego przypomina czasy rzeczypospolitéj: mundur ma bardziéj krój sukni cywilnéj. Przewiązana na nim szarfa szeroka, ramiona bez szlif, zamiast szpady, pałasz, buty krótkie ze sztylpami, włos na głowie długo spuszczony, a na kapeluszu trojkolorowe powiewają pióra. Poruszenie ręki zdaje się wskazywać na wznoszące się w oddaleniu piramidy egipskie.

Przy nim stoi Bonaparte pierwszy konsul. Zdaje się spoczywać na urwiskach skał świętego Bernarda, wśród chrupiących pod nogami śniegów alpejskich. Ubranie jego jest prawie jak poprzedzające, tylko płaszczem jest okryty. Na skałach, co go otaczają, wyryte są imiona bohaterów, co te same szczyty ziemskie zbrojną ręką zwiedzili, to jest: Annibala i Karóla Wielkiego, tudzież jego własne.

Trzecia postać wystawia Napoleona cesarza, na najwyższym szczeblu sławy i potęgi.



Jest to chwila widzenia się jego z cesarzem Alexandrem na rzece Niemnie. Występuje właśnie ze statku na przygotowane dla niego pomoście wśród rzeki, i zdaje się iść na spotkanie przybywającego na drugim bacie cesarza rossyjskiego. Z przeciwnéj strony rzeki stoi uszykowane wojsko Alexandra. Napoleon trzyma w ręku zwinięty papier z napisem: traktat pokoju. Jest on w ubiorze wojskowym cesarstwa, mundur krótki, obcisły, spięty na szyi i piersiach; na nim szerokie wyłogi i złote szlify i dekoracya legii honorowéj. Pałasz republikański już zmieniony na szpadę. Buty długie, polowe. Na głowie zaś nosi on prosty bez żadnéj ozdoby kapelusz, co się odtąd stał jakby klassycznym we wspomnieniach francuzkiego żołnierza.

Czwarta nakoniec postać wystawia Napoleona w pałacu Fontainebleau, podpisującego zrzeczenie się tronu, wyraz twarzy pełen głębokiéj tęskności. Ubranie jego jak poprzedzające, prócz że tu wdział na mundur ów równie klassyczny surdut szaraczkowy, który wraz z kapeluszem francuzka publiczność chciała mieć uwiecznniony nawet na spiżowym posągu.

Przeciąg ośmnastu lat, te wszystkie wykazał koleje!

P...r.

Jan Jakób Rousseau.

(Dokończenie.)

Jego listy zawieszono w teatrze; uknowano spisek na jego życie. Uciekł do Genewy

ale tam przez odmianę religii utracił prawo obywatelstwa. Przyjął więc publicznie religią protestancką napowrót i był przywrócony do praw wolnego obywatela Genewy. Ztamtąd pojechał do Sabaudyi i do Chambéry i odpowiedział na pytanie akademii w Dijon: „o przyczynie i początku nierówności między ludźmi (sur l'inegalité parmi les hommes);" nie było to pismo uwieńczone, ale podniosło Russa chwałę. Postawił człowieka dzikiego obok ucywilizowanego: moje i twoje, własność i bogactwo, z tego powstające zbytek, nierówność, arystokracyą oświadczył za źródła tysiącznéj nędzy i pełen obrzydzenia dla wielkiego arystokratycznego świata, w którym jego wielkie uczucie przyrody zostało wydrwione, wołał: „pójdźcie ze mną do lasów, a zostaniecie ludźmi; macie zostać ludźmi natury, to jest stan niewinności i prostoty. Własność i układy zrobiły ludzi nieszczęśliwymi; żelazo i złoto zrządziły zgubę rodu ludzkiego." Tymczasem nienawiść przeciwko niemu w Paryżu uspokoiła się. Na gorące zapraszania przyjechał do Montmorency, napisał tamże: Contrat social, Nouvelle Héloise, Emile, dzieła, któremi na cały wiek wpływ swój wywarł. Rewolucya francuzka czerpała z nich swe zasady; dla tego pamięć Russa była czczona 1791, zrobiono w Montmorency uroczystość na jego pamiątkę; 11go Października 1794 kości jego złożone zostały w Panteonie. Kiedy ludzie światowi i uczeni, za i przeciwko jego Contrat social, za i przeciwko jego listom o francuzkiéj muzyce byli, ukazała się Julia (Nowa Heloiza); ostrzegał, ażeby niewinne dziewczęta, które nigdy żadnego nie czytały romansu, w których wyobraźni nie żarzyła się iskra namiętności i zaledwie przeczucie miłości w sercu nosiły, ograniczone na czystych domowych uciechach, nie czytały jego Julii. Julia i jéj kochanek zrobiły we Francyi, gdzie miłość lekko koło gotowalni wzlatywała i w krajach, gdzie panieństwo świętością było, bardzo rozmaity, ale zawsze i wszędzie potężny wpływ. Nareście w roku 1762 wydał dla matek napisane najsławniéjsze dzieło o wychowaniu: Emile ou de l'éducation. W liście do marszałkowéj Luxemburg pisze 12go Czerwca następne powody: miał z swą gospodynią, którą później poślubił pięcioro dzieci; wszystkie przecież odesłał do domu podrzutków z takiém niedbalstwem o poznanie ich, iż nawet nie podał dnia ich urodzenia. Od wielu lat czuł z tego powodu najdogryźliwsze wyrzuty sumnienia, ale jego i ich matki żal był bezskuteczny; chcąc ten błąd niejako naprawić, wywiązać się ludzkości, napisał Emila. W Emilu oddzielił spekulatywne dogmata religii od tych, które na moralność wpływają, których nikt nie jest w stanie zaprzeczyć. Ledwo Emil z Russa wyznaniem wiary na świat wyszedł, kazał parlament książkę tę z powodu wątpienia o religii 1762 spalić i skazał autora do więzienia. Arcybiskup paryzki ścigał go pasterskim listem i nazywał go świętokradzcą, uwodzicielem. Russo odpowiedział: święto-kradzcami są ci, którzy sobie władzę Boga przyznają. Russo chciał się schronić do Genewy, ale jego ojczyste miasto nie chciało go przyjąć, groziło uwięzieniem; Emila spalił kat. Uciekł do Iverdun, ztamtąd do Moitiers-Travers, małéj wioski w hrabstwie Neufchatel. Od dzieciństwa nie mieszkając między protestantami, złączenie się z tamtą parafią było mu tem milsze. Podobało mu się ich proste nabożeństwo, uczęszczał do kościoła; budował się i zyskał miłość u plebana i parafii. Prosił o kommunią i ta została mu udzieloną. Gdy duchowni w Genewie łżyli z ambon nazwisko jego; przeciwko temu, nieprawnemu postępowaniu senatu genewskiego wydał sławne listy z Bergu. Tymczasem oddawał się Russo całkiem swéj parafii; uroczyście obserwując religią protestancką, i żądał drugi raz kommunii, którą mu już z trudnością udzielono. Jego listy z Bergu i list do arcybiskupa z Paryża, zostały w Paryżu publicznie roku 1765 spalone. Duchowni genewscy podburzali plebana i parafią w Moitiers-Travers przeciw niemu, i do tego przyprowadzili, że Russo ucierpiał tamże wiele obelg. Dwa miesiące, czyli dla niego dwa wieki, przeżył potém na wyspie Petersinsel na Bielersee; botanizowaniu tamże winoiśmy Botaniste sans maitre i dobrą myśl, młodzież w botanikę zaraz wprowadzać. Niechciano go tu dłużéj cierpieć. Rząd kantonu niemieckiego kazał mu w najprzykrzéjszéj porze roku kraj w przeciągu krótkim czasu opuścić. Prosił nadaremnie o małe przedłużenie, naprózno o więzienie, gdzieby bez materyału piśmiennego, bez towarzystwa, mógł nie dręczony życie zakończyć; wypędzono go i podano go w niebezpieczeństwo zmarcia w drodze. Przyjaciele jego wyrobili mu powrót do Paryża, gdzie filozofowie, których bolało, że tyle serca i wiary w nim się znajduje, równie okropnie go prześladowali jak księża. Sprawiedliwszym względem niego był Hume, który go z sobą do Anglii zabrał. Tam przyjęty z uwielbieniem, radośnie wstąpił na kraj wolny, rzucił się swemu dobroczyńcy na szyję; towarzyszył mu do Londynu, gdzie go z ubóstwieniem, jakiego jest zdolny ten naród, przyjęto. Anglicy cisnęli się, aby go zobaczyć; panie nosiły jego portret na bransoletkach. Hume był dobry, ale nadzwyczajnie zimny człowiek, który Russa natchnień nie rozumiał i zapału niepodzielał. Russo odstręczył się jego oziębłością, był nawet względem niego podéjrzliwy; przez lekkomyślnych Anglików rozrzucone śmieszne pisemka o wypędzonym filozofie, zwiększyły ten zły humor, i rozpaczając o przyjaźni i sprawiedliwości, opuścił kraj, który uważał za ostatnie schronienie. Wrócił za tajemném przyzwoleniem do Paryża 1767, był w początku przez ciekawych otoczony; później wcale nie uważany, odstry-

chnął się coraz bardziéj od towarzystw, utrzymywał się przepisywaniem nót i zbierał zielniki. Jego list do Linneusza dopiero w roku 1818 drukiem ogłoszony, zawiera w sobie zapewnienie, jak wiele szczęścia doznał w towarzystwie z światem roślinnym. 1768 roku wydał muzykalny dykcyonarz; niedługo potém Pygmaliona melodram przez niego napisany i doskonale skomponowany. Zamiast wielu piosnek i romansów umieścił proste, ale czułe melodye. Z starością rosła w nim hypochondrya i nienawiść ludzi. Z upragnieniem szukał zakątka, w którymby spokojnie był mógł umrzeć. Życzenie się jego spełniło: Markiz Girardin w swoich dobrach Ermenonville, niedaleko Paryża, ofiarował mu pomieszkanie, dokąd się 1778 w Maju przeprowadził, ale już 2. Lipca tego samego roku ze spaceru powracając, paraliżem tknięty, umarł. Pogłoskę, że sobie życie odebrał, zbił hrabia Stanisław Girardin roku 1824. Ciało jego nabalsamowane, w ołowianéj trumnie w pośród parku Ermenonville na topolowéj wyspie pogrzebiono. Nad tém wzniesiono sześć stóp wysoki pomnik z napisem: Ci git l'hommme de la nature et de la verité. Zagorzała miłość dla ludzkości i wolności; paradoxomania, oryginalny upór z hypochondryą powiązany, są cechy jego charakteru. Jego dzieł wyszło 1764 roku dziesięć tomów. O dziełach i autorze najlepsze dziełko jest: Histoire de la vie et des ouvrages de J. J. Rousseau par Musset. Parthay 1821 roku w Paryżu. Od roku 1745 była Teresa Levasseur, praczka, którą w Wenecyi pokochał, jego nierozdzielną towarzyszką życia. Umiała się do jego humoru stósować, innych zalet niemiała. Żeby jéj nadgrodzić wierność, ożenił się z nią 1768 roku. Gdy rewolucya Russa popioły do Panteonu wniosła, niezapomniano o jego wdowie na wniosek Barrèra 1790 roku; dostawała pensyą roczną 1200 liwrów. Od roku 1817 do roku 1824 wyszło 13 edycyj dzieł Russa, złożone z 480,000 exemplarzy. W. A. W.

Wieczornica II.

Kiedy już tyle o tém powietrzu mówicie, toć ja muszę o niém powiedzieć, ozwał się Klemusz posłaniec z Luboni; słuchajcie więc, co się stało u nas w Luboni. "Wielki tam był mór ludzi, ani już trupów nie odwożono do parafii, lecz chowano je w kopcu za wsią, blisko kuźni, gdzie dotąd stoi na pamiątkę Bożamęka; co to ją często ludzie chorzy płótnem opasują, aby ulgę znaleść w swych bolach i jak mówią zawiązać chorobę. W owych to nieszczęsnych czasach stało się, co powiem. Był w Luboni sołtys zarobny, co nie miał dzieci, jedno wychowanicę w domu. Dobrać to była dziewczyna, zawsze hoża, i wesoła, chędogo się nosiła, a śliczne jéj włosy, aż po kolana spadały, twarz jéj rumianą była jak leśne jagody, żadna dziewka w wiosce raźniejszego nad nią niemiała oka. Każdy więc lubił i kochał biedną sierotkę, i dobrze jéj życzył: lecz jakiż los tę miał spotkać niebogę? Gdy morowe powietrze w Luboni bardzo zaczęło wioskę wyludniać, uważano, że przykładny sołtys, acz znajomy z swego przywiązania do wioski, zaczął stronić od ludzi, i czém więcéj od niego żądali pomocy, tém on dzikszym się stawał odludkiem: wychowanica nawet ulubiona już go więcéj nie cieszyła. Przyczyną tego było, że kochał swoją gminę i z rozpaczą tylko spoglądał na mnogie ofiary téj straszliwéj zarazy. Co raz więcéj trupów grzebano na wsi, co wieczór z większą się kładziono obawą na spoczynek, co rano większy strach ogarniał gospodarzy i zasmucał zatrwożonego sołtysa. Aż nakoniec niemogąc znieść tego bolesnego widoku, uszedł do lasu, bawił w nim dni kilka; powrócił wreszcie do domu przededniem i kazał wychowanicy grób wykopać w ogrodzie. Dzień cały go kopała samotnie, a gdy słońce za krwawe zaszło zorze, przyszedł sołtys pozapłociu, i kazał jéj grób zmierzyć swym ciałem, czyli dość długim będzie. Weszła weń nieszczęsna sierota, nie obawiając się po ojcu przybranym i dobroczyńcy nic złego: lecz wtém wyrwał jéj z ręki łopatę; przerażona bronić się nie umiała, i on już ją kupą ziemi był zasypał. Tak, gdy już nie było widać niebogi z pod ziemi, jemu sił przybrakło, ręce drżące mu opadły, i podnieść się nie chciały, aby cały dół zapełnić; strach ściął go z nóg, stał w odrętwieniu osłupiały. Wtém głęboki jęk dziewicy usłyszy z grobu; więc żyje, jeszcze żyje, a on ją mordował, ani dobić, ani wyratować nie może. Okropność moru, który jéj śmiercią okupił, okropniejsze męki piekielne stawały mu przed oczy; najokropniejsza myśl, że on, on zabił tę, co go ojcem zwała: ucieka od grobu jak potępieniec, od grobu, gdzie na wpół zagrzebaną zostawił ofiarę. We wsi słyszano jęki niebogi, lecz któżby jéj pobiegł na pomoc, i słyszano przez noc całą; lecz coraz słabszemi były ku rankowi; aż przecię zedniem ustały, rano ona już nieżyła, lecz i morowa ustała zaraza. Okropna ta ofiara, którą sołtys był uczynił z najdroższéj swéj wychowanicy, uśmierzyły złość piekła: albo raczéj przedwieczna Opatrzność wstrzymała zarazę, aby inni ludzie nie wpadli na myśl dziką, błagania piekła". Powieść ta Klemusza z Luboni wszystkich słuchaczów przeraziła, i pobożniejsi między nimi westchnęli do Boga, że ich od podobnego nieszczęścia zachował: stary Stach mniemał, że chociażby dzisiaj mór miał nas nawiedzić, toby się już nikt nie znalazł, coby wierzył, że odwrócić go zdoła, odbierając życie bliźniemu.

(Koniec nastąpi.)



Powietrze.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)